



# KIH – α

Kurier Instytutu Historii

№ 3 (10), R. II

[www.sknh.uni.lodz.pl](http://www.sknh.uni.lodz.pl)

grudzień 2005

Idą święta idą święta! Każdy student marzy teraz o indeksie z zaliczeniem sesji awansem pod choinką. Miłe oczekiwanie na prezenty skróci wam lektura KIH-y.

W tym numerze przeczytacie o tym, co grozi studentowi na badaniach terenowych, co sądzimy o naszej błyszczącej windzie i o tym kiedy i z kim grać w siatkówkę. Prezentujemy także kolejną porcję monarchicznych rozważań, informacje o stażach oraz ciemnej przeszłości Volkswagena.

Redakcja chciałaby również złożyć wszystkim życzenia rodzinnych świąt i do siego – cokolwiek to oznacza – roku!!!

Redakcja



## O spotkaniu z Krzysztofem Piesiewiczem słów kilka

12 grudnia 2005 r. w Muzeum Kinematografii odbyła się, w ramach spotkania w Salonie Polityki, rozmowa i dyskusja z Krzysztofem Piesiewiczem. Ponieważ jestem wielbicielek filmów Krzysztofa Kieślowskiego, postanowiłam wykorzystać nadarzącą się okazję i posłuchać, co ma do powiedzenia człowiek, którego z Kieślowskim łączyła długoletnia współpraca (jest współautorem wielu scenariuszy) i przyjaźń. Rozmowa z Piesiewiczem okazała się być interesująca, w pewnym sensie nawet zaskakująca, dlatego postanowiłam przedstawić pokrótce jej przebieg i podzielić się moimi wrażeniami.

Pomimo że wiedziałam o zaangażowaniu bohatera spotkania w życie polityczne (jest on senatorem RP), sądziłam, że rozmowa będzie dotyczyła w głównej mierze kinematografii, jednak myliłam się. Piesiewicz wspominał okoliczności, w jakich poznał Kieślowskiego (panowie zostali sobie przedstawieni przez Hannę Krall), czasy gdy pracował jako adwokat i to, jak później wykorzystywał swoje zawodowe doświadczenie w scenariuszach, które współtworzył. Opowiadał o nowym filmie Danisa Tanovica (bośniacki reżyser, jego debiut *Ziemia niczyja* został nagrodzony m.in. Oscarem dla najlepszego filmu zagranicznego 2002) – *Piekło*, do którego napisał scenariusz, a który należy do cyklu *Piekło, Niebo, Czyściec*, którego projekt realizacji narodził się niedługo przed śmiercią Kieślowskiego (*Niebo* nakręcił w 2002 roku Tom Tykwer). Premiera filmu miała miejsce w Paryżu i Piesiewicz mówił o dosyć nieprzychylnym jego odbiorze przez krytykę francuską, jak i o męczących, niekończących się porównaniach do Kieślowskiego (dlatego, najprawdopodobniej, *Czyściec* nie zostanie zrealizowany). Na pytanie, zadane przez prowadzącego dyskusję redaktora Zdzisława Pietrasika, czy zamierza spróbować swoich sił jako reżyser, Piesiewicz odżegnywał się od tego, stwierdzając m.in. *trzeba znać swoje miejsce w szeregu*.

Rozmowa została jednak zdominowana, właściwie od pierwszego pytania, przez ocenę bieżącej rzeczywistości. I pomimo że Piesiewicz kilkakrotnie zastrzegł, że nie jest malkontentem, po tym, co mówił można było wysnuć całkiem odmienny wniosek, a już na pewno uzasadnione jest stwierdzenie, że do apologetów współczesności nie należy. Motywem przewodnim jego wypowiedzi był motyw prawdy, jego zdaniem utraconej. Żyjemy pod *parasolem hipokryzji*, dokonujemy autocenzury, ulegamy presji zachowania poprawności politycznej, brak nam odwagi do mówienia prawdy. Problemem współczesnego kina jest to, że nie dotyka ono, według Piesiewicza, rzeczywistości, że jest produktem mediów (tematy, które podejmuje są zaczerpnięte z telewizji, a nie z życia). Ponadto twórcy uważają, że szorstkość przekazu jest w stanie zasłonić banalność i błahość treści. Z żywym zainteresowaniem uczestników dyskusji spotkał się poruszony przez Piesiewicza problem lustracji. Wypowiadał się przeciwko idei lustracji, zniesieniu instytucji sądu lustracyjnego i przekazaniu jego kompetencji do IPN. Sam przyznał się do otrzymania statusu pokrzywdzonego i podzielił się swoimi wątpliwościami, głównie natury moralnej, związanymi z zaglądaniami w teczkę SB. Senator skrytykował bieżącą działalność IPN, nazywając jego urzędników *młodymi wilczkami*, bezrefleksyjnie przyjmującymi za pewnik każde słowo zapisane ręką funkcjonariusza komunistycznego reżimu.

Nie sądzę, żeby to, co mówił Piesiewicz, było przejawem kokieterii. Uważam, że jego apel o prawdę wynika z głębokiego przekonania o konieczności wyrwania się ze szponów wszechogarniającej hipokryzji. Kilka razy podkreślił, że szansę zmian mają młodzi (wspominał wydarzenia 1968 r.), on sam natomiast rezygnuje z inicjatywy (odrzucając chociażby oferty stanowisk ministerialnych), przyjmując postawę, jak to sam określił, *emigracji wewnętrznej*. Po tym spotkaniu utwierdziłam się w przekonaniu, że osoba scenarzysty, senatora (kolejność nie jest przypadkowa) Krzysztofa Piesiewicza z pewnością zasługuje na zainteresowanie i mam nadzieję, że wzbudziłam je również w Czytelnikach niniejszego tekstu.

Sylwia Wielichowska  
sylwia\_wie@o2.pl

### MONARCHICZNIE (III)

#### MONARCHIA I REPUBLIKA W JEDNYM PAŃSTWIE?

Czy monarchia i republika to pojęcia sobie przeciwstawne? Czy jedno wyklucza drugie? Pozornie wydawać by się mogło, że odpowiedź jest oczywista – król, cesarz, książę, albo prezydent jako głowa państwa to jedyny, absolutny wyznacznik odpowiedzi. Lecz tylko przy jednoczesnym przyjęciu takiego najbardziej podstawowego poziomu definicyjnego możliwa jest jednoznaczna – dodajmy: twierdząca – odpowiedź na sformułowane pytania. Oba pojęcia przechodziły poprzez wieki ewolucję wieloaspektową, były i są rozmaicie stosowane. Niezależnie jednak od tego, czy przyjmiemy za kryterium definicje ustrojów wypracowane w antyku, czy też dzisiejsze ich mutacje, problemu nie można rozstrzygnąć inaczej niż dopuszczając w określonych wypadkach rozłączność pojęć, w innych natomiast ich przenikanie. Historia tak w czasach dawniejszych, jak i współczesnych dostarcza bowiem licznych przykładów współwystępowania elementów republikańskich i monarchicznych w jednym ustroju, czy też wręcz współwystępowania w jednym państwie republiki i monarchii.

Nie ulega wątpliwości, że już w starożytności prowadzono rozważania nad ustrojami politycznymi. Tworzono zarówno modele teoretyczne, idealne (bodaj najświetniejsze wypracował Platon), jak i opisowe, oparte na rozwiniętej komparatystyce (tu wspomnieć należy przede wszystkim Arystotelesa i jego uczniów, którzy przebadali ówczesny i miniony ustrój ponad 150 istniejących polis, wypracowując formy najpoprawniejsze i wskazując odstępstwa od nich). Już wówczas dociekano, które spośród ustrojów są najlepsze, najefektywniejsze i najsprawiedliwsze; próbowano wskazywać teoretyczną drogę rozwoju przez poszczególne formy. Cała współczesna dyscyplina doktryn polityczno-prawnych posiada się wciąż jeszcze przyjętym wówczas systemem pojęć. Inaczej je definiuje, polemizuje z wnioskami badaczy antycznych, ale ścisły związek istnieje nieprzerwanie.

Właśnie wówczas, w pełni świata antycznego zauważono, że istnieją ustroje mieszane, łączące cechy dwu lub więcej modeli teoretycznych<sup>1</sup>. Twierdzono na przykład, że stosunki ustrojowe Sparty wykazywały cechy monarchii, arystokracji i demokracji jednocześnie (tak Platon w *Prawach*). Idealna politeja arystotelesowska łączyła w sobie oligarchię i demokrację, będąc najszlachetniejszą formą tej ostatniej. Poglądy te znane były Polibiuszowi, badaczowi historii ekspansji Rzymu i przyjacielowi Scypiona Afrykańskiego, ale przecież Grekowi, wyrosłemu w tradycji greckiej, synowi stratega Związku Achajskiego, rodem z Megalopolis arkadyjskiej. Uważany za bystrogo i świadomego obserwatora wielkich przemian swego czasu, w *Dziejach* (w księdze VI) przedstawił pogląd także i na temat ustroju rzymskiego, jako najpiękniejszego z istniejących. Otóż tajemnicą sukcesu i rozwoju Rzymu miało być połączenie w jego ustroju cech tak monarchicznych, jak i arystokratycznych i demokratycznych. Pierwszy element reprezentowała instytucja konsulatu, drugi – senat, trzeci – lud. Chociaż Polibiusz oddzielał przy tym królestwo od monarchicznej formy rządów (jako wynaturzenia, rozumiejąc pod tym pojęciem tyranie), to nie ulega wątpliwości, że republika rzymska wykazuje w jego opinii wyraźne cechy monarchiczne. Miały być one tak mocno wkomponowane w całość systemu politycznego, że nawet Rzymianie nie byli – zdaniem historyka – w stanie oddzielić ich od pozostałych<sup>2</sup>.

Teoria Polibiusza była wielokrotnie później analizowana i w pewnych elementach poddawana krytyce (zwłaszcza pod względem jej zgodności z rzeczywistym funkcjonowaniem opisanego ustroju). Czy jednak oznacza to, że należy ją przekreślać? Podobne zarzuty kierowane były przeciw pod adresem teorii trójpodziału Monteskiusza, co jednak nie zachwiało jej

<sup>1</sup> Zwięzła analiza tematu ustrojów mieszanych w artykule Ryszarda Małajnego, *Antyczna doktryna ustrojów mieszanych*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 45, 1993, s. 207-229.

<sup>2</sup> Nawiasem mówiąc Polibiusz, idąc śladem historyków dawniejszych, przypisywał utworzenie modelu ustroju mieszanego lacedemońskiemu prawodawcy Likurgowi. W podobnym duchu wypowiedział się także Plutarch z Cheronei w *Żywotach równoległych* (Likurg/Numa), tłumacząc genezę spartańskiej geruzji.

wpływem ani na potoczne, ani naukowe rozumienie ustrojów. Można zresztą wskazać wiele państw z późniejszych epok, w których substrat monarchiczny mieszał się z republikańskim, a przyporządkowanie do danej grupy jest raczej kwestią tradycji, nie zawsze jednolitej i nie zawsze podążającej za opinią mieszkańców danego państwa. Wenecja, podręcznikowy przykład republiki miejskiej, może być przecież bez ryzyka błędu charakteryzowana także jako monarchia elekcyjna. A jak traktować niderlandzkie republiki, których stadhouderowie, tj. namiestnicy wywodzili się z tej samej rodziny książąt Orańskich (od 1747 r. urząd był już po prostu dziedziczny)? A Szwecję za Adolfa Fryderyka (1751-1771), władcy pozbawionego faktycznie nawet prawa sankcji? Wreszcie przykład najprostszy – Rzeczpospolita przedrozbiorowa, nam o każdej porze dnia i nocy znana jako monarchia elekcyjna, a przez wielu (nie tylko przez Rousseau) uważana za republikę. Przykłady są celowo nieco bałamutne; dobrze pokazują wieloznaczność dwóch podstawowych pojęć i błąd w ewentualnym założeniu dychotomii.

Czasy nam współczesne do tego tygla niejasności włączają nowe, interesujące wątki. Pierwszy z nich to ilość cech republikańskich (nie tyle demokratycznych, ale właśnie republikańskich), wykazywanych przez współczesne monarchie parlamentarne. Nie jest ona, wbrew pozorom, jednakowa; król norweski ma większe prawa niż brytyjski, brytyjski niż duński, a duński niż szwedzki. Niezależność oraz supremacja izb i rządów (gabinetów) jest jednak w systematyce ustrojowej tak jaskrawa, że pozwala widzieć w tak ukształtowanym systemie nowy typ ustroju mieszanego – klasycznie, wręcz antycznie pojmowanego. Nie narusza to zresztą monarchicznej istoty państwa.

Drugie frapujące zjawisko to istniejące dzisiaj w niektórych państwach połączenie obu systemów nawet w tej wspomnianej na początku najprościej rozumianej wersji definicji. Oto przykłady: pirenejskie Księstwo Andory ma, zgodnie z tradycją odziedziczoną po średniowieczu, dwóch współksiążąt – jednym jest biskup Seo de Urgel, drugim prezydent Republiki Francuskiej. Zjednoczone Emiraty Arabskie, istniejące w obecnej formie ustrojowej od 1971 r., to federacja księstw (początkowo sześciu, obecnie siedmiu). Władca każdego z nich (Abu Zabi, Dubaju, Szardży, Fudżajry, Adżmanu, Ras al-Chajmy, Umm al-Kajwajn) co do zasady rządzi dożywotnio, władzę otrzymuje zgodnie z islamskimi zasadami dziedziczenia. Głowa państwa na poziomie federacji to jednak prezydent, wybierany spośród książąt przez nich samych, na pięć lat (jak dotąd emirowie Abu Zabi). Nieco podobnie, ale z konsekwentnie stosowaną zasadą rotacji zmienia się król Malezji, o pięcioletniej kadencji, którym jest jeden z monarchów malajskich sułtanatów, współtworzących federację.

Trzecia grupa przykładów ilustruje zjawisko, będące efektem epoki kolonializmu. Imperia, zajmując stopniowo obszar wszystkich kontynentów, nałożyły własną sieć granic na inne, istniejące wcześniej i kształtujące się przez wieki. Dawne państwa, bądź wielkości dzisiejszych państw europejskich, bądź obejmujące kilkadziesiąt km<sup>2</sup>, były dziesiątkami i setkami wchłaniane w nowe, tworzone sztucznie terytoria. Jednocześnie nie zawsze likwidowano ustrój pochłanianych państw; pozostawiano rodzimych władców i wewnętrzne prawa. Gdy wspomniane wykreowane kolonie wybiły się na samodzielność, także niektóre z nich (tj. z reguły te, które nie przyjęły socjalizmu jako doktryny panującej) pozostawiły przedkolonialne instytucje ustrojowe (królów-wodzów, emirów), w zamierzeniu głównie o symbolicznej, ewentualnie samorządowej roli. Ich tradycyjna rola jest jednak nadal niebagatelna. Istnieje wobec tego dość szeroka grupa państw, w których poza republikańskim ustrojem ogólnokrajowym istnieje monarchiczny ustrój niższego szczebla, oparty o prawo zwyczajowe i tradycję. Takim państwem jest np. Indonezja z jej tradycyjnymi, formalnie już nieistniejącymi sułtanatami (w tym najbardziej poważanymi jawajskimi: Yogyakarty i Mangku Negaran). Kontynuowane są linie władców w wielu państwach afrykańskich: Beninie, Botswanie (gdzie władcy – *kgosi* – mają pewne polityczne uprawnienia), Burkinie Faso (państwa Mossich), Czadzie (Bagirmi), Kongu, Ghanie (kilkudziesięciu władców o różnych tytułach), Namibii, Nigerii (Bornu, Ibadan, Kano, Lagos, Sokoto i inne), RPA (Zululand), Uganda (Buganda, Bunyoro, Ankole, Toro).

Monarchia i republika w jednym państwie – może to jednak wcale nie absurd?

Andrzej Kompa

## NAJWIĘKSZY PLUS

Po serii artykułów, będących w istocie wstrętnymi paszkwilami, które usiłowały piętnować niedoskonałości Instytutu, czas dać wyraz zachwytowi nad jego plusami. Niewątpliwie samo studiowanie jest jednym wielkim plusem – ludzie, którzy studia skończyli, często lubią powtarzać frazę: *to najpiękniejszy czas twojego życia*, zapominając, że czas ten najpiękniejszy jest regularnie przerywany okresami, które plasują się po przeciwnej stronie skali przyjemności – a już studiowanie historii, w dodatku w odnowionym budynku prowadzi wręcz do stanów euforycznych.

Skupmy się więc na temacie artykułu i odpowiedzmy na pytanie – co jest największym plusem odnowionego Instytutu. Pozornie jest to bardzo trudne zadanie, bo jest ich multum. Zaczniemy od autoreklamy: bez wątpienia „Kurier Instytutu” jest jego plusem, tak samo jak i SKNH... (lecz to czy są one faktycznie plusami, zależy od ludzi którzy je tworzą), lecz nie największymi. W takim razie co nim jest? Może antyterrorystyczny dziekanat, mieszczący się 20 metrów od sekretariatu, a nie tak jak poprzednio, prawie kilometr? Sala konferencyjna ze stołem nakrytym zielonym sukrem? Szatnia na 600 ubrań, z szybkobieżnymi szatniarkami? Marmurowe schody? Środki ochrony przed nieumarłymi, takie jak przeszklony dach i wszechobecne lustra? Papier toaletowy w WC? Nie, moi drodzy! Nie chodzi też o sale 201-204, w których można spokojnie pospać sobie na co bardziej specjalistycznych monografach, ani też o nowe, rewolucyjne podejście do studentów, które tak bardzo podobało się na czwartym roku... Otóż największym plusem Instytutu w jego obecnej formie jest *w i n d a*. Jak ważny i potrzebny to sprzęt, mogą poświadczyć właściwie wszyscy. Czy jest wśród nas ktoś, kto spóźniony na wykład nie pędził do sali 47, cudem unikając straty zębów przy potknięciach, po czym przez 20 minut nie mógł notować, łapiąc oddech? Istnieje co prawda legenda, mówiąca o starożytnej windzie, wożącej studentów w starym budynku, podobno są nawet ludzie, którzy widzieli ludzi nią jeżdżących... ale historyk o legendzie może co najwyżej napomknąć, a nie się na niej opierać.

Wracając do meritum – obecnie winda mieści się tuż przy wejściu, po prawej stronie. Niewtajemniczeni mogą ją łatwo przeoczyć, i w sumie dobrze – winda ma być dla pracowników i studentów, a nie zwiedzających. Teraz trochę techniki – największy plus Instytutu ma udźwig ośmioosobowy (lub 650 kg), automatyczne drzwi, stylowy design, i oczywiście olbrzymie lustro. Sterowany jest komputerem o inteligencji niedorozwiniętej mrówki i obsługuje 5 pięter, w tym tajemniczy poziom -1, na który nikt nie jeździ. Jazda odbywa się na tyle szybko, żeby kadra nie musiała brukać się zbyt długim przebywaniem w nadmiernej bliskości studentów – znacznie gorzej wygląda oczekiwanie na jazdę, ale można to przeboleć. Na uwagę zasługuje twórcze wykorzystanie windy przez jej użytkowników – autor miał okazję jechać z osobnikami rozmawiającymi językiem wulgarnym, którzy w tejże skakali; zdarzyło się też użycie kabiny jako wyrazu gorącego, choć niegramatycznego protestu. Z kolei faktem dość dziwnym jest pewien snobizm niektórych studentów, którzy z windy nie korzystają, preferując schody marmurowe; jednak większość windę sobie ceni. Żeby nie zostać gołosłownymi, zacytujmy samych zainteresowanych:

Janusz B.: „wreszcie środek transportu pionowego jest dopasowany do mojego szlacheckiego pochodzenia”;

Sylwia W.: „w windzie najbardziej podoba mi się to lustro”;

Wojciech M.: „dobrze, że jest”;

Zbigniew G.: „no... jest !” (po chwili ciężkiego myślenia);

Ola B.: „Fajnie, że jest ta winda”;

Przemysław S.: „no kiedy to wreszcie przyjedzie ?!?” – ale on akurat jest malkontentem.

Jak widać, winda jest zdecydowanie największym plusem nowego Instytutu i chwała kadrze za to, że jej nie zawłaszczyła. Jednak jeśli ktoś uważa inaczej, niech da temu wyraz w artykule polemizującym – adres znacie.

Oślawiony cyklista

## ŚWIĘTY MIKOŁAJ CONTRA SANTA CLAUS

Czy wierzysz w świętego Mikołaja? Czy święty Mikołaj istnieje? Zdania co do tego są podzielone. Jedni mówią, że to tylko bajkowa postać, w którą wierzą tylko małe dzieci albo wymysł specjalistów od reklamy, potrzebny do napędzania przedświątecznego popytu. Dla innych – niekoniecznie dzieci – jest symbolem świąt, najwspanialszym wspomnieniem z dzieciństwa. A jaka jest prawda?

No właśnie, problem polega na tym, że prawda o świętym Mikołaju została zapomniana już dawno temu, a jego postać i związane z nią całe przesłanie z roku na rok są coraz bardziej wypaczane. Przede wszystkim święty Mikołaj jest postacią historyczną, choć informacji o nim mamy stosunkowo mało. Urodził się około 270 roku w Patarze na terenie Azji Mniejszej, w zamożnej rodzinie. Wybrał za zgodą rodziców służbę Bogu i został wyświęcony na prezbitera. Wybrano go następnie na biskupa miasta Miry w Licji (obecnie Demre). Miał być więziony za Dioklecjana i Maksymiana, a uwolniony edyktem z 313 roku. Uczestniczył też w pierwszym soborze powszechnym w Nicei w 325 roku. Choć nie znamy dokładnej daty jego śmierci (było to między 345 a 352 rokiem) wiemy, że zmarł 6 grudnia. Jego ciało pochowano w Mirze, skąd w 1087 roku przewieziono je do włoskiego Bari, gdzie w 1098 roku odbył się synod, mający pojednać Kościoły zachodni i wschodni.

Właśnie prawosławni czczą świętego Nikólaosa (Nikołaja), który jest jednym z najważniejszych świętych, patronem Rosji i Grecji (nazywany tam także Cudotwórcą). Jego obrazy znajdują się niemal w każdym domu i świątyni prawosławnej. Na ikonach zazwyczaj przedstawiany jest w liturgicznych szatach biskupich, często czerwonego koloru. Prawą rękę ma złożoną w geście błogosławieństwa, w lewej trzyma Ewangelię. Niekiedy przedstawiany jest z mitrą na głowie. W sztuce zachodniej Mikołaj przedstawiany jest w stroju pontyfikalnym biskupa, w mitrze i z pastorałem. Do jego licznych atrybutów należą: anioł, chleb, troje dzieci lub młodzieńców w cebrzyku, trzy jabłka, trzy złote kule na księdze lub w dłoni (posag, jaki według legendy podarował biednym pannom), pastorał, księga, kotwica, sakiewka z pieniędzmi, okręt, worek z prezentami. Jego kult rozwijał się przynajmniej od VI wieku. W Polsce także był popularny, o czym świadczy 327 kościołów pod jego wezwaniem. Jego życie i cuda, jakich miał dokonywać, opisują liczne legendy. Uratował między innymi od egzekucji trzech młodzieńców z Miry, skazanych na karę śmierci za jakieś wykroczenie. Kiedy zaraza nawiedziła jego rodzinne strony, ryzykował własnym życiem, opiekując się zarażonymi. Po śmierci rodziców dzielił się swoim majątkiem z potrzebującymi, a gdy np. dowiedział się, że ubogi sąsiad planuje wysłać na ulicę swoje trzy córki, wrzucił po kryjomu do jego domu przez okno bryłki złota, zawinięte w chustę, żeby każda z córek miała wystarczający posag, potrzebny do wyjścia za mąż. To właśnie dzięki tej historii w XIII wieku zaczęto fundować w dniu świętego Mikołaja specjalne stypendia i zapomogi dla sierot, dopiero z czasem zwyczaj bezinteresownego obdarowywania się drobnymi upominkami w jego dniu lub w noc poprzedzającą jego święto objął wszystkie dzieci.

Powoli święty zaczął być popularny we wszystkich krajach Zachodu, choć znany pod różnymi imionami. W Anglii to Father Christmas, w Danii Julemanden, we Włoszech Babbo Natale, w Czechach Mikuláš, a w Niemczech – der Heilige Nicolaus. Holendrzy nazywali go Sinter Klaas i to właśnie oni po przybyciu do Ameryki w XVII wieku przywieźli ze sobą tradycję świętowania jego dnia. Mieszkający tam Anglicy przekręcili je na Santa Claus, co utrwaliło się do dnia dzisiejszego. W 1809 roku w książce Washingtona Irvinga *Historia Nowego Jorku* pojawił się rysunek świętego, ale bez biskupich szat, a w 1823 roku nowojorski profesor Clement Clark Moore w poemacie *Relacja z wizyty świętego Mikołaja* upodobił go do gнома ze skandynawskich i brytyjskich legend, który nie 6 grudnia, lecz w Boże Narodzenie wyrusza z bieguną północnego w saniach zaprzężonych w osiem reniferów, by rozdać dzieciom prezenty. Miało to ułatwić Amerykanom przyswojenie tej postaci. Kilkadziesiąt lat później zilustrował go na podstawie tej książki Amerykanin Thomas Nast. Od 1930 roku Mikołaj nosi czerwono-biały kubrak i czapkę z pomponem, a to za sprawą Freda Mizena i Huddona

Sundbloma, którzy na zlecenie koncernu Coca-Coli ubrali staruszka z siwą brodą w barwy popularnego napoju, a wszystko na potrzeby reklamy produktu, dla zwiększenia sprzedaży i zysku.

A dlaczego Mikołaj przeniósł się z bieguna północnego do Laponii? W latach 20. XX wieku jeden z dziennikarzy fińskich umiejscowił go tam podczas programu dla dzieci, co szybko się przyjęło. Do tego wyswatano go i teraz ma żonę! Kilkanaście lat temu minister spraw zagranicznych Finlandii uroczyście przekazał Laponię Mikołajowi. Z całego świata zjeżdżają się tu turyści, głównie do Rovaniemi, skąd już tylko 8 km do wioski świętego Mikołaja. Jest tutaj Główne Biuro, Poczta Główna, restauracja, Oficjalny Port Lotniczy świętego Mikołaja. To tu przychodzą listy do Mikołaja od dzieci z całego świata.

Co jeszcze można zrobić z Mikołajem? Jak będzie wyglądał za 50 lat? Na koniec pozwolę sobie na krótką refleksję. Święty Mikołaj, a raczej Santa Claus stał się ikoną świąt Bożego Narodzenia, ale także, co smutniejsze, chwytem reklamowym. Przemysł mikołajowy kwitnie z roku na rok, a czas przedświąteczny jest coraz bardziej wydłużany. Z jednej strony możemy się dzięki temu dłużej cieszyć świątami, ale z drugiej strony tracą one swój urok, wyjątkowość tych kilku dni, na które zawsze czekamy. Już na początku listopada uśmiechają się do nas ze sklepowych półek uśmiechnięci staruszkowie z grubym brzuchem, w czerwonych płaszczkach, nierzadko w towarzystwie półnagich „śnieżynek”. Święty Mikołaj, biskup z Miry już dawno przestał być atrakcyjny dla dzisiejszego świata. Święty, od którego można się było uczyć bezinteresowności i skromności, zdaje się odszedł w cień. Jego miejsce zajął Santa Claus i Rudolf. Też wdzięczni, sympatyczni, sprawiający wiele radości, zwłaszcza dzieciom. Ale to tylko wytwory wyobraźni literackiej i produkty marketingowe, w dodatku coraz rzadziej niosące z sobą jakiegokolwiek przesłanie. Mam nadzieję, że to tylko mój przesadny pesymizm i że tak, jak mówił Jan Paweł II, święty Mikołaj będzie dla nas *patronem daru człowieka dla człowieka*.

Przemysław Wieczorek  
wieczorekprzemek@wp.pl

---

## „Tajna broń” Hitlera

Na froncie II wojny światowej, prócz standardowego wyposażenia wojskowego, znalazły się również „garbusy”. Spytacie, co ma wspólnego „garbus” z Hitlerem? Ano dużo, jak się okazuje. Pamiętać trzeba, że wódz chciał uczynić naród niemiecki szczęśliwym. A to, że obiecywał gruszki na wierzbie, to już wina... wojny. Przyszedł bowiem wrzesień 1939 r. i „garbusy” wyjechały na front. Oczywiście była to hitlerowska mistyfikacja propagandy.

Robotnikom obiecywano raj na ziemi. Dobry Adolf oświadczył, że spełni życzenie społeczeństwa i da mu tanie samochody osobowe. Miały to być auta symbolizujące jedynekę z zerami, czyli: ciężar do 1000 kg, szybkość maksymalna do 100 km/h, zużycie paliwa do 10 l na 100 km, wytrzymałość co najmniej 10 lat i oczywiście cena poniżej 1000 marek. W 1938 r. na rozkaz Hitlera rozpoczęto budowę Volkswagenów („samochodów ludowych”). Projektem produkcji zajął się doktor honoris causa Ferdynand Porsche. Przedstawił on trzy różne prototypy nowego pojazdu. Wódz był jednak niezadowolony z brzydkiego i mało funkcjonalnego kształtu. Naszkicował więc „genialnie” poprawiony kształt. Testy wykazały oczywiście słuszość poprawek. Oficjalna propaganda głosiła więc, że pomysł samochodu dla każdego zrodził się w „genialnym” umyśle Führera.

W kancelarii założono nawet akta pod nazwą *Kraft III* (‘Siła III’). W przedsięwzięcie włączyli się przemysłowcy, powołując się na opinie wojskowych, że lepszy byłby lekki pojazd trzykołowy, na którym można by było ustawić karabin maszynowy... oczywiście w razie potrzeby. Wynikało to ze sławnego sloganu Göringa: „Armaty ważniejsze od masła”. Nic więc dziwnego, że i optymiści i sceptycy stworzyli anegdotę o pracowniku zakładów Volkswagena, który wynosił skrzętnie wszystkie części auta. Gdy złożył je wszystkie w domu, stwierdził, że wychodzi z tego podstawa ciężkiego karabinu maszynowego...

W rzeczywistości Porsche sam wystąpił z projektem małych, tanich samochodów. Wynikało to oczywiście z popularyzacji aut na całym świecie, więc nie był to, muszę zmartwić, genialny zamysł Hitlera. Zresztą przedstawił on konstruktorowi szereg warunków. Miał to być samochód dla 4 lub 5 osób z dużym bagażnikiem, nadwoziem odpornym na wilgoć, osiągając prędkość zbliżoną do prędkości światła na autostradach i poruszać się na bezdrożach (taki ulepszony czołg). Do tego prosta konstrukcja tak, by każdy mógł naprawić auto łatwo i szybko (a stosunkowo nieduża waga dawała możliwość holowania siłą mięśni). Może więc jednak nie należy odmawiać geniuszu Adolfowi...

Fabrykę „garbusów” założono w Fallersleben koło Wolfsburga. Finansowana była w dużej mierze ze składek robotniczych na DAF<sup>3</sup> i częściowo również z przedpłat na dostawy samochodu. System przedsprzedaży gwarantował odbiór auta dopiero po wpłaceniu ostatniej raty. Mimo to znalazło się aż trzysta tysięcy chętnych (do listopada 1940 r.). Dopiero, gdy przyszła wojna, zorientowano się, jaki był cel tego ratalnego systemu. Społeczeństwo swoimi oszczędnościami wyposażyło armię w samochody wojskowe. Nijak miało się do tego hasło *Kraft durch Freude* („siła przez radość”). Ludzie nie mieli ani samochodów, ani pieniędzy. Jaka radość!

Tak czy inaczej sam pomysł Volkswagenów się zmaterializował i nawet nazwa była adekwatna, bo przecież był to pojazd „stworzony” przez społeczeństwo. Przedsięwzięcie było więc udane, inaczej niż w przypadku broni „V”. Wisielczy humor określał bowiem V-1 jako *Versager Eins* (niewypał nr 1), a V-2 jako *Versager Zwei*.

Justyna Antczak  
vinsanity15@interia.pl

---

### Staże w instytucjach kultury

Gdy przegląda się różne informatory, broszury, czy buszuje po internecie w poszukiwaniu miejsc, gdzie można by odbyć praktyki czy staże – jest tych propozycji wiele. Nie dla historyka jednak. Skierowane są one raczej do studentów kierunków ekonomicznych, a także inżynierskich. Okazuje się jednak, że coś takiego istnieje – są to bezpłatne staże w instytucjach kultury dla studentów kierunków artystycznych i humanistycznych (czyli właśnie historii, choć nie tylko). I chciałoby się powiedzieć: świetnie, szkoda tylko, że bezpłatne. Ale historyku, bierz, co dają, bo warto!

Program staży realizowany był początkowo przez Narodowe Centrum Kultury, obecnie zaś przez Instytut im. Adama Mickiewicza w Warszawie. Informacje na jego temat można odnaleźć na stronie internetowej: [www.regiony.nck.pl](http://www.regiony.nck.pl) (nowa strona IAM w przygotowaniu).

Do programu mogą się zgłaszać z jednej strony studenci III, IV i V roku (średnia ocen co najmniej 4,0), z drugiej zaś instytucje kultury (np. domy kultury, biblioteki, kina, teatry, muzea, czy organizatorzy takich imprez, jak Festiwal Dialogu Czterech Kultur). Staż trwa od piętnastu do trzydziestu dni roboczych, a jego długość zależy od potrzeb instytucji i możliwości studentów. W roku akademickim staże trwają 2-3 miesiące, przy założeniu, że studenci odbywają praktyki w trybie dwóch dni roboczych w tygodniu. W okresie wakacji są to 3-6 tygodniowe staże, odbywające się w trybie ciągłym, czyli przez pięć dni w tygodniu. Są to jednak tylko założenia, a w praktyce zależy to od tego, jak umówimy się z instytucją.

Aby wziąć udział w programie, należy wypełnić formularz karty zgłoszenia, który można pobrać przez internet. Trzeba go wypełnić i wysłać do Warszawy pocztą. Kiedyś wysyłało się go faksem, ale teraz takie zgłoszenie, a także te przesłane pocztą elektroniczną, nie będą uwzględniane. W formularzu tym, poza podstawowymi informacjami o sobie, pisze się o swoich

---

<sup>3</sup> DAF (Deutsche Arbeitsfront; Niemiecki Front Pracy) powstały w 1933 r. z zadaniami kierownictwa światopoglądowego, politycznego i zawodowego. Faktycznie była to organizacja stworzona do kontrolowania robotników przez NSDAP.



zainteresowaniach, osiągnięciach, a także znajomości języków obcych i umiejętności obsługi komputera. Zainteresowania są chyba najważniejszym kryterium doboru odpowiedniej instytucji. Mówię o tym z praktyki, w swoim formularzu wpisałam czytelnictwo i zaproponowano mi staż w bibliotece; kolega pisał o zainteresowaniu filmem i odbywał staż w kinie. Ale są to tylko moje osobiste dywagacje na ten temat.

Po zgłoszeniu się do programu i rozpatrzeniu przez Instytut wszystkich formularzy otrzymujesz propozycję odbycia stażu w konkretnej instytucji. Propozycję tę można przyjąć albo odrzucić. Przy odmowie najprawdopodobniej zaproponują Ci coś innego, jednak z tych ofert, które zostały im wolne (będzie więc mniejszy wybór). Następnie pozostaje już tylko omówienie z instytucją szczegółów co do przebiegu praktyk: ustalenie wszystkich terminów, planu stażu, podpisanie umowy o wolontariacie, a także przesłanie do Warszawy oświadczenia o uczestnictwie w projekcie staże oraz o przestrzeganiu regulaminu projektu. Moja uwaga: w praktyce ustalenie szczegółowego planu, podpisanie umowy nie zawsze ma miejsce, wszystko zależy od instytucji przyjmującej. Na razie macie jednak koniec z biurokracją i możecie spokojnie zająć się pracą, ale do czasu. Po zakończeniu praktyk wysyłacie sprawozdanie ze stażu oraz pilnujecie (czasem jest to konieczne, a czasem nie), by instytucja, w której odbywaliście staż, przesłała do stolicy list rekomendacyjny.

Przed Wami (albo już za) są jeszcze warsztaty szkoleniowe. Początkowo odbywały się one przed stażem, potem się to zmieniło. Temat szkoleń to podstawowe zagadnienia upowszechniania kultury. Udział w nich jest obowiązkowy. Wykłady i zajęcia warsztatowe odbywają się w czasie trzydniowej sesji w Popowie koło Warszawy (bardzo ładny ośrodek). Są bezpłatne, a organizatorzy zapewniają wyżywienie, zakwaterowanie i materiały dydaktyczne. Uczestnicy muszą pokryć jedynie koszty dojazdu do Warszawy i ubezpieczenia NNW. W ramach warsztatów omówione zostają cztery bloki tematyczne: 1. prawne podstawy funkcjonowania instytucji kultury w Polsce; 2. pozabudżetowe źródła finansowania przedsięwzięć kulturalnych i programy wspólnotowe, m.in. Kultura 2000, Leonardo da Vinci, Młodzież; 3. praktyczne aspekty pracy w instytucjach kultury (marketing w tych instytucjach, sponsoring i promocja wydarzeń kulturalnych); 4. samozatrudnienie – szansa pracy na rzecz sektora kultury. Męcząca jest jedynie ilość godzin, jakie trzeba spędzić na tych wykładach. Od rana, z przerwą na obiad i tak do wieczora (plus przerwy na kawę). Są jednak warte wysłuchania, tym bardziej, że na studiach humanistycznych trudno się z tymi zagadnieniami spotkać. A mój artykuł z października o samozatrudnieniu to właśnie pokłosie tamtych warsztatów.

Po odbyciu stażu i szkoleniach Instytut im. Adama Mickiewicza wystawi Wam stosowne zaświadczenie o wzięciu udziału w programie (ja nie mogę się doprosić swojego od dwóch miesięcy). Będziecie się tym mogli pochwalić przyszłemu pracodawcy.

Następnym razem opiszę Wam mój staż, który odbywałam w Miejskiej Bibliotece Publicznej Łódź–Polesie. Nie myślcie sobie, że skoro odbywał się w bibliotece to był nudny – wprost przeciwnie.

Marta Rudnicka  
martarud5@wp.pl

---

---

**Zespół redakcyjny:** Lidia Jurek, Bruno Kamiński, Andrzej Kompa, Wojciech Marciniak, Sylwia Wielichowska.

**Współpraca:** Justyna Antczak, Zbigniew Głąb, Marta Rudnicka, Kajetan Rudnicki, Karolina Sikala, Przemysław Wieczorek.

**Rycerzyka projektował** Przemysław Damski.

**Drukowano w Pracowni Kserograficznej Instytutu Historii  
Uniwersytetu Łódzkiego oraz w Pracowni Intrologatorskiej  
i Kserograficznej pp. Ewy i Amilkara Kosińskich.  
Nakład 250 egz.**

## Historyk – siatkarz, siatkarz – historyk?

(ogłoszenie sponsorowane)

A jednak! Pewnego dnia chłopaki i dziewczyna skrzyknęli się i założyli zespół w składzie zastępującym:

- Maciek Piwoński
- Arek Stolarek
- Bartek Gałęzewski
- Krzysiek Kostrzewa(k)
- Janek Pajor
- Michał Brewor
- Mariusz Kostrzewa
- Marta Zawisza
- Jan Cabaj

Włączyli się do rozgrywek i wkrótce będą toczyli mecze:

18 grudnia 2005, 17:20	Doniczego
8 stycznia 2006, 19:40	Alfa
15 stycznia 2006, 17:20	Jutro Będzie Lepiej
22 stycznia 2006, 19:40	Papkersi
29 stycznia 2006, 17:20	Kawazi Kumi

W I rundzie zespoły podzielone są na dwie grupy: A (8 drużyn) i B (9 drużyn). Zespoły z miejsc I.-III. z każdej z grup awansują do grupy pierwszej, IV.-VI. do grupy drugiej, a VII.-IX. do grupy trzeciej.

Zespoły z grupy pierwszej oraz dwa najlepsze z grupy drugiej zagrają w ćwierćfinałach. Pozostałe zespoły po tej fazie rozgrywek zakończą udział w lidze.

Głośny doping mile widziany (wierzymy w powiedzenie: kibic – siódmy gracz). Spotkania odbywają się w hali AZS przy ul. Styrskiej.

Karolina Sikala  
ja\_karusia@wp.pl

---

## Kącik satyryka, czyli historyk w terenie

Podróże kształcą – zwłaszcza, jeśli połączone są z wozami naukowymi. Przekonany o prawdziwości tego twierdzenia, postanowiłem wykorzystać ostatnie dni październikowej pogody i wybrać się do pięknej miejscowości o wdzięcznej nazwie Lutomiersk, która od pewnego czasu pojawiła się w kręgu moich zainteresowań.

Na wyprawę wybrałem dzień pogodny aczkolwiek nieco wietrzny, co chwilami znacznie wpływało na jakość moich badań – skracając je do niezbędnego minimum. Jako środek komunikacji wybrałem tramwaj podmiejski numer 43. Maszyna ta już na pierwszy rzut oka wyglądała na weterana polskiego transportu szynowego – i to weterana, któremu wiek emerytalny będzie przysługiwał zapewne dopiero od sześćdziesiątego piątego roku życia (czyli, sądząc ze stanu pojazdu, już niedługo). Ale cóż – pomyślałem – w końcu my, historycy, lubimy stare rzeczy. Podróż przebiegała pomyślnie i bez zakłóceń do momentu, w którym spod kłapy w podłodze zaczął wydobywać się dym. Zjawisko to, dla mnie ze wszech miar niepokojące, nie wywarło najmniejszego wrażenia na pasażerach. Ludzie siedzieli, rozmawiali, czytali gazety – jak gdyby nigdy nic. Starszy mężczyzna, siedzący naprzeciwko

mnie, widząc moje zaniepokojenie, spojrzął na mnie rozbawionym wzrokiem, jakby chciał powiedzieć: „No co pan się dziwisz. Tramwaj się pali”. Dym gęstniał, tramwaj włókł się niemiłosiernie, a ja wraz z pozostałymi pasażerami udawałem, że płonące tramwaje to dla mnie codzienność.

Po około godzinie jazdy szczęśliwie dotarliśmy na Lutomierski rynek. Zaopatrzony w mapy starsze (dziewiętnastowieczne) i nowsze (z dwudziestolecia międzywojennego) rozpocząłem moją wędrówkę po tym prastarym grodzie.

Ponieważ interesowało mnie rozplanowanie przestrzenne miasta, a zatem wzajemne położenie rynku, ulic, kościołów (czy też raczej domniemanych miejsc po kościołach), różnorodnych stanowisk archeologicznych oraz wszelakie inne zjawiska topograficzne, zmuszony byłem przemierzyć Lutomiersk wszerz i wzdłuż wiele razy. I tutaj zaczęły pojawiać się problemy. Otóż kazało się, że największy kłopot w badaniach terenowych nad dziejami małych miast stanowią psy. Duże, małe, wszystkich maści i odmian (choć najczęściej „wielorasowe”). Po kilku godzinach znałem już wszystkie psy w centrum Lutomierska. Podejmując kolejną wyprawę w kierunku domniemanego miejsca po kościele św. Bartłomieja wiedziałem już, że bezpieczniej wybrać ulicę Stodolnianą, niż ulicę Głowackiego. A to ze względu na przebywanie w połowie tej ostatniej owczarkopodobnej bestii o pięknej żółtej sierści, która za miejsce wygrzewania się na słońcu obrała sobie środek chodnika, a swoje zębiska demonstrowała już z odległości kilkudziesięciu metrów. Natomiast ujadającego na ulicy Stodolnianej jamniko-teriera dało się jakoś przeżyć. Kilka miejsc okazało się dla mnie początkowo niedostępnymi jak np. teren po wczesnośredniowiecznym cmentarzysku, którego pilnowało szarobure coś o rozmiarach małego cielaka. Na szczęście w porze obiadowej zwierzątko udało się do jednego z pobliskich domów, a ja mogłem skorzystać z okazji i spokojnie (aczkolwiek z „oczyma dookoła głowy”) obejrzeć interesujący mnie teren.

Podczas zwiedzania Lutomierska miałem także okazję obserwować spokojnie toczące się tutaj życie: ekipę murarzy budującą dom, kramarza oferującego najróżniejsze przedmioty na (jedynym) straganie ustawionym na lutomierskim rynku, panów spod sklepu (wedle moich obliczeń spożywających około jednego piwa na godzinę) czy wreszcie mężczyznę walczącego od dłuższego czasu z opornym rozrusznikiem starego poloneza. Oczywiście w całym tym obrazku nie byłoby nic dziwnego, gdyby nie jeden niepokojący element: a mianowicie ja. Otóż w niewielkiej miejscowości większość stałych mieszkańców zna się przynajmniej z widzenia. Zazwyczaj nie zwracają oni uwagi na przyjezdnych. Bo i po co? Sytuacja zmienia się jednak, kiedy nieznaną osobą po raz kolejny krąży tymi samymi ulicami, przygląda się skrupulatnie nie wiadomo czemu (no bo co interesującego może być w szarej ulicy przy której stoją nieciekawe domy, a w dodatku nieładne bo stare?) i generalnie porusza się bez sensu to w jedną, to w drugą stronę. Tolerowany przez miejscową społeczność, spokojnie kontynuowałem swoje badania, czując na sobie coraz bardziej podejrzliwy wzrok osób od pewnego czasu mi znajomych (złodziej? niemowa, który kogoś szuka a nie może zapytać? wariat?). Napięcie rosło i w końcu musiało dojść do nieuniknionej konfrontacji. Nastąpiła ona pod kościołem. Ponieważ miejscowa świątynia była zamknięta, postanowiłem obejrzeć ją przynajmniej z zewnątrz, z nadzieją znalezienia czegoś dla historyka ciekawego. Już po minucie zorientowałem się, że krok w krok podąża za mną jak cień – kościelny. Badając jego cierpliwość, chodziłem spokojnie wokół kościoła. Przy drugiej rundzie kościelny nie wytrzymał. Podeszedł i zapytał: *kogo szuka?* Na moje tłumaczenia, że oglądam kościół odpowiedział krótko: *eee?* W krótkich słowach wyjaśniłem, że jestem historykiem i interesuje mnie przeszłość Lutomierska. Po wymianie kilku uprzejmości i otrzymaniu wielu jakże cennych informacji (*kościół, panie, stary – najstarsi ludzie nie pamiętają, żeby go nie było*) rozstaliśmy się. Kościelny trochę się uspokoił, że to jednak nie

żaden złodziej, ale do końca miał minę jakby chciał powiedzieć, że na tę „histerię” to najlepiej jakieś tabletki w aptece kupić.

Następnie udałem się z wizytą do klasztoru oo. Salezjanów, celem obejrzenia wystawy o Lutomiersku. Na miejscu przyjęto mnie bez większego zdziwienia. Zostałem wprowadzony do sali, w której znajdowała się interesująca mnie ekspozycja. I tutaj okazało się, że jednak jestem gościem niecodziennym. Kątem oka obserwowałem zdumienie dyżurnego Salezjanina, na widok robionych przeze mnie fiszek. Po kilkunastu minutach westchnął, pokazał mi, gdzie się gasi światło, jak zamknąć drzwi, pożegnał się i poszedł. „Ludzie czasami dziwnie reagują na fiszki” – pomyślałem.

Do Łodzi wróciłem autobusem. Taniej, szybciej. Nic się nie paliło...

Po powrocie z wyprawy oprócz wniosków czysto naukowych nasunął mi się jeszcze jeden. Badania terenowe to w pracy historyka ważna rzecz. Czy wobec tego uczelnia nie powinna przygotowywać po części także do tego rodzaju działalności? Oto kilka propozycji zajęć uzupełniających dla studentów historii w ramach warsztatu historyka:

- zajęcia strategiczno-komunikacyjne, czyli czym, jak, dokąd i za ile dojechać, a przy tym nie zginąć (np. w płomieniach; tutaj konieczny dodatkowy kurs obsługi gaśnicy w ramach BHP);
- zajęcia kynologiczne (ze szczególnym uwzględnieniem psychiki i sposobów obłaskawiania psa wiejskiego i małomiasteczkowego);
- zajęcia z przysposobienia interpersonalnego, czyli „sposób na tubylca” – jak nie wyjść na dziwaka, a przy tym dowiedzieć się czegoś ciekawego.

Aha; a dla ambitnych – kurs mechaniki samochodowej. Bo bardzo było mi żal tego pana, który przez zepsutego poloneza spóźnił się do pracy...

Zbigniew Głab

semp\_ja@o2.pl

*Z przyjemnością zapraszamy do ogólnodostępnej, profesjonalnej i nowoczesnej Pracowni Kserograficznej i Intrologatorskiej. Znajduje się w naszym Instytucie, przy szatni.*

*W szerokim wachlarzu usług znajdują się m. in.:*

- *Kserokopie A4 od 6 do 10 groszy*
- *oprawy prac wszelakich*
- *eleganckie passe-partout*
- *wydruki i skanowanie*
- *reperacje i oprawy druków, starych książek, czasopism*

*Pracownia oprawia profesjonalnie każdy rodzaj prac bez względu na format i objętość. Oprawy wykonywane są na miejscu, bez korzystania z tzw. gotowych okładek.*